ZDZISŁAW MICHALCZYK

ur. 1946; Wierzchowiska

Miejsce i czas wydarzeń	Wierzchowiska, Zaklików, Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Lublin. W kręgu żywiołów - woda ; Wierzchowiska ; dzieciństwo ; rodzina ; rodzice ; Michalczyk, Stefan ; Michalczyk, Stanisława ; dziadkowie ; rodzeństwo ; dziecięce zabawy ; wychowanie dzieci ; Zaklików ; szkoła ; nauka ; nauczyciele ; wygląd Wierzchowisk ; elektryfikacja ; rzeźba terenu ; studnie ; rzeki ; rzeka Sanna ; rzeka Biała Łada ; źródła ; cudowne źródełko ; majątek ziemski Wierzchowiska ; dziedzic Świda ; pompowanie wody do pałacu ; relacje z dworem ; wybór Lublina ; początek studiów ; studia na UMCS ; studia geograficzne ; dr Szalkiewicz ; Wilgat, Tadeusz (1917-2005) ; egzaminy na studia ; wybór specjalizacji ; obrona pracy magisterskiej ; temat pracy magisterskiej ; źródełka przy ulicy Jana Pawła ; woda w Lublinie ; mapa hydrograficzna Polski ; zlewnia Białej Łady ; pomiary Bystrzycy ; uzdrowisko na Sławinku ; Sławinek ; wody żelaziste ; źródła okolic Lublina ; Czechówka (rzeka) ; stawy w Ogrodzie Botanicznym ; źródło pod stawem w Ogrodzie Botanicznym ; praca na UMCS ; wyjazdy terenowe ; uzdrowisko w Nałęczowie ; Praca w MPWiK

Zdzisław Michalczyk - całość relacji świadka historii

1. Wierzchowiska – szczególna wieś

Nazywam się Zdzisław Michalczyk, rocznik 1946. Urodziłem się w Wierzchowiskach na skraju Roztocza, powiat Janowski. Krajobraz, w którym znajdują się Wierzchowiska, jest zbliżony do Płaskowyżu Nałęczowskiego, a więc są to wąwozy, jest to dolina rzeczna, lasy – przepiękne lasy bukowe. Wówczas, w latach 50., były przepiękne drzewa, których obecnie nie ma. To, co mnie zawsze fascynowało, to zróżnicowanie wysokości, zróżnicowanie rzeźby, a więc te bardzo nisko położone obszary i wysoko położone obszary zbocza. Następny element to białe kamienie, które pojawiały się w dolinie po wielkiej powodzi oraz można było je obserwować na zboczach, a szczególnie w kamieniołomach. Jest to obszar zbudowany ze skał kredowych i stąd te białe kamienie, które ukazują się na powierzchni. Co było fascynujące, że część z nich była bardzo miękka po wydobyciu bezpośrednio ze zbocza. Można było je strugać, rzeźbić w nich, natomiast w krótkim czasie te

kamienie robiły się bardzo twarde. Druga kwestia, która mnie bardzo interesowała to kwestia źródeł. Mieszkałem w pobliżu źródeł Sanny. Są to źródła o wydajności najczęściej kilkunastu lub dwudziestu paru litrów na sekundę, z których ludność korzystała i pobierała wodę. Nosiła wodę na tak zwanych jarzmach – po dwa wiaderka zaczepione na jarzmie. Dlaczego? Bo wówczas nie można było wykonać studni w gospodarstwach, nie było takiej techniki, żeby przekopać ten tak zwany żygawiec czy kurzawkę. Oczywiście ludzie wykonywali studnie, ale bardzo szybko one były niszczone. Były też w mojej miejscowości drugie źródła, jedne z największych na Wyżynie Lubelskiej i Roztoczu, to jest wydajność powyżej stu litrów na sekundę. Tam tych wypływów było bardzo dużo i zawsze zastanawiałem się, „a skąd ta woda się tam dostaje?". Były szczeliny, którymi wydobywała się woda, która wypływała tak jak z rury. Niekiedy nawet było widać, że wydostaje się pod pewnym ciśnieniem. I następna rzecz, która mnie fascynowała, to obok źródeł były stawy. Tak jak kąpaliśmy się w stawach, to można było też się umyć – może nie wykąpać, bo tam w źródłach to była woda rzędu, powiedzmy, tych trzydziestu, czterdziestu centymetrów na odpływie, ale ona w lecie była bardzo zimna, natomiast w okresie zimowym wydawała się ciepła. To było miejsce, do którego panie przychodziły i płukały bieliznę, prały tak zwanymi kijankami, trzepały to płótno, bo taki był wówczas materiał. Te sprawy wody mnie na tyle zainspirowały, że później po jakimś czasie podjąłem badania tych źródeł, zresztą nie tylko w Wierzchowiskach, ale i na całym obszarze Wyżyny Lubelskiej i Roztoczu. [Wierzchowiska] to była, powiedziałbym, szczególna wieś. Wjeżdżało się, to tak jakby schodziło się do jakiejś kotliny. To była dolina Sanny, bardzo głęboko wcięta i obojętnie z której strony, jak się wchodziło do miejscowości, widać było mieszkania dość wysoko. To był jeden poziom tak jakby bliżej Wierzchowiny, ponad, i drugi poziom był w dnie doliny Sanny, pod zboczem, z tym że zbocza miały różne spadki. To była dolina asymetryczna. Jedno zbocze wysokie, które wykorzystywaliśmy w zimie do zjeżdżania na sankach – najczęściej na sankach, bo nie stać było nas na jakieś profesjonalne narty, to trzeba było robić. No, ewentualnie łyżwy, ale też to trzeba było mieć buty odpowiednie, z taką zapinką metalową do łyżwy i śrubami przykręcane z przodu. Czyli tu z jednej strony właśnie mieszkania czy zabudowa pod stromym zboczem i następne te dwadzieścia, trzydzieści metrów wyżej gospodarstwa, a po drugiej stronie zbocze łagodne i tutaj zabudowa koncentrowała się od tej strefy sąsiedztwa doliny do pewnej wysokości, ale też nie było tutaj jakiejś granicy. W różnych miejscach te domy się pojawiały, ale zarówno z jednej, jak i z drugiej strony ludność nie mogła wykonać sobie studzien. Ja byłem w tej szczęśliwej sytuacji, że mieszkałem w sąsiedztwie zbocza i tam była wykonana studnia. Ona była płytka, bo tam [było] ze trzy metry do wody, ale woda była bardzo dobra, bezpośrednio z tych już wspominanych skał kredowych. Zresztą jak trzeba było, to tam wchodziłem i oczyszczałem, jak coś wpadło. Natomiast u sąsiadów już była studnia na zboczu o głębokości 25 metrów. A później, jak mnie już zainteresowały te sprawy związane z wodą, no to nie tak daleko było gospodarstwo,

gdzie było 66 metrów do wody. To jak patrzyło się z góry, to taki malutki krążek tylko było widać. A kamyk jak się rzuciło, o, to już... Tylko że, no właśnie, tak żeby gospodarz nie widział, bo denerwował się, że po co mu wrzucamy kamienie. W dolinie były płytkie studnie, ale mało było dobrych warunków, gdzie można było taką studnię utrzymać. Ta „moja" była na gruncie wspólnym, ale najbliżej mojego domu – bardzo blisko, bo tuż za płotem – to była na żuraw. Następnie przy innym zamieszkaniu była pompa, ale pompa psuła się od czasu do czasu, więc tato ją reperował, tam trzeba było to tak zwane kubełko ze skóry przygotować – tato potrafił to zrobić. Z tym że to były jakieś koszty z tym związane i nie zawsze mieszkańcy chcieli niejako w tym współuczestniczyć, najchętniej żeby to ktoś zrobił. A dlaczego? Dlatego że mogli iść do źródeł po tą dobrą wodę – źródeł, w których woda była zawsze i bardzo wysokiej jakości. Trzeba jeszcze powiedzieć, że od czasu do czasu pojawiały się w naszej miejscowości wysokie spływy, wysokie wezbrania. Może nie takie jak było w tym roku w maju, gdzie Wierzchowiska zostały zalane. Przy moim gospodarstwie to było jakieś metr czterdzieści wody, tam, gdzie ono stało. To celowo z zainteresowania pojechałem zobaczyć, ile tej wody było. No może nie takie [wezbranie], ale to zagrożenie spływającą wodą zawsze u nas było. Z tym że ono nam, tak jak mieszkałem tam wiele lat, nigdy jakiejś szkody nie robiło. To, co zdarzyło się w tym roku, to było wyjątkowe. Natomiast były problemy wtedy z przejściem, że trzeba było mieć buty wyższe, żeby można było przejść. Takie wezbrania pojawiały się najczęściej w czasach roztopów i po gwałtownych ulewach – ale wtedy to były godziny, pojawiała się woda i znikała. Pamiętam kiedyś taką sytuację w lany poniedziałek. Pojawiła się chmura gdzieś na wschodzie, u nas słoneczko świeciło, ale zastanawialiśmy się, co z tego będzie. No i po jakichś dwóch, trzech godzinach obserwujemy, że w rzece jest coraz więcej wody. Doszła do takiej grobli i przestała się podnosić. Okazuje się, że tam w sąsiedniej miejscowości, w tym dużym systemie wąwozów, był bardzo wysoki opad i stąd pojawiła się u nas woda. Zabudowa [w Wierzchowiskach] była drewniana. Oczywiście pałac był murowany czy te wszystkie obejścia wokół były murowane. Elegancko to wyglądało, no ale z tych obejść to się praktycznie nic nie zachowało. Później pojawił się kamień, bo tam po sąsiedzku był eksploatowany tak zwany wapniak, kamień z okresu trzeciorzędu, z którego wypalano wapno. Ale była też opoka, z której ludzie budowali, z tym że nie każdy gatunek opoki nadawał się do budowy i opoka pękała na słońcu, a więc trzeba było to odpowiednio zabezpieczać. To najczęściej były fundamenty – do powyżej fundamentów to było z tego lokalnego kamienia, a później na tym albo drewno, albo cegła. Cegły w Wierzchowiskach w tym czasie nie wypalano. Te najbliższe to były duże cegielnie w Kraśniku czy ewentualnie z drugiej strony to wszystko, co robili w Łążku Ordynackim, również naczynia, kafle do budowy pieców – to było stamtąd transportowane. Teraz praktycznie tam nie mam [w Wierzchowiskach] rodziny. Oczywiście poza cmentarzem, gdzie są rodzice, ale zawsze z sentymentem wracam i odwiedzam. Patrzę, co się dzieje, co się zmienia. Cieszę się, że Wierzchowiska

zmieniają się pozytywnie, zmieniają się krajobrazowo, chociaż pojawiają się już w tej chwili takie budowle... Powiedzmy, ktoś na wjeździe do Wierzchowisk postawił takie wysokie metalowe silosy. No, ktoś na to pozwolił, ale to widać w krajobrazie. Raczej byłem przyzwyczajony do takiego zdrowego krajobrazu bez tego typu fajerwerków antropogenicznych. To jest swoista samowola, również brak wyczucia. Niekiedy ta chęć uruchomienia biznesu przesłania to, do czego byliśmy w sposób niepisany, niemówiony, przygotowywani, bo to tutaj jest istotne, nie to, że czytamy „nie wolno tego, tego, tego". To po prostu było przekazywane w życiu, to było przekazywane w domu czy w szkole, że tego nie należy, że pewien ład musi istnieć w przyrodzie, bo inaczej będą tego niedobre konsekwencje.

2. Majątek w Wierzchowiskach

Przed wojną [w Wierzchowiskach] był dziedzic Świda, którego majątek został rozparcelowany, ale ludzie zostawili Dziedzicowi pałac, zostawili stawy, chmiel i część [ziemi], żeby ewentualnie mógł wrócić i funkcjonować. I to, co znowu mnie frapowało, to że ten plac niedaleko pałacu był zdrenowany i czasami dla ciekawości nosiliśmy wodę w wiadrze – pobieraną ze stawów, bo były dwa stawy tam przy źródłach – i wlewaliśmy do tych drenów i patrzyliśmy, po jakim czasie ona wypłynie, czy wypłynie. Były te miejsca – to inspirowało, zmuszało do zastanowienia, jak to środowisko funkcjonuje. I tutaj przeniesienie na źródła o bardzo dużej wydajności – też zastanawiałem się, „a kto to nastarczy nosić wodę do tego źródła o wydajności ponad 100 litrów na sekundę, żeby...". To już wypływa taka mała rzeka. Budynek pałacu był przejęty później przez szkołę podstawową i ona funkcjonowała do wybudowania nowej szkoły. W tej chwili tam jest dwór Sanna, a więc on [budynek] został odrestaurowany, z zewnątrz przypomina wygląd taki, jaki pamiętam z czasów dzieciństwa. Ale tam raczej nie było dewastacji. Oczywiście, jak to ludzie, jak coś się zaczęło walić, no to wykorzystywali a to cegły, a to coś takiego, ale powiedziałbym, że właśnie miejscowość Wierzchowiska wyróżniała się taką również swoistą wizją przyszłości. Raczej nie widziałem tej zawiści. Oczywiście zazdrość zawsze jest, ale to nie było coś chorobliwego. Cyganie zawsze się pojawiali. Wtedy zaraz szedł sygnał, żeby kury gdzieś tam chować, bo to... No widziałem, jak to się robi, jak cyganka potrafi to zrobić, także różni ludzie odwiedzali, różni domokrążcy czy zbierający jakieś metale, zbierający szmaty, to, co w gospodarstwie było niepotrzebne, oni jakieś tam grosze za to płacili, najczęściej to jakieś naczynia, jakieś garnki oferowali za to. No, ludność korzystała z tej pomocy. Natomiast co do innych rodzin byli też, ale nie było ich dużo i tam nie było żadnych jakichś tarć religijnych, raczej było wzajemne poszanowanie.

3. Liceum Ogólnokształcące w Zaklikowie

Uczęszczałem do Liceum [Ogólnokształcącego] w Zaklikowie. Liceum w Janowie było bliżej, ale tam byli dwaj starsi bracia i już nie chciałem pojawić się w tym liceum, bo jak to po starszych braciach – różne opinie zostają. Zatem wybrałem tą dalszą miejscowość, ale złożyło się tak, że wówczas w Zaklikowie była bardzo dobra kadra nauczycieli. Naprawdę na wysokim poziomie. Oni przygotowali nas do studiów, kilka osób z mojej klasy ukończyło studia, pracują jako lekarze czy inżynierowie i po prostu są z tego zadowoleni. Pierwotnie myślałem o zawodzie elektryka. To z uwagi na to – to również kwestia domu rodzinnego – że to byłby od razu zawód. Takie liceum było w Nisku, ale w tym roku, w którym ja miałem pójść do tego elektrycznego liceum, nie było internatu. Internat był zamknięty. A moją rodzinę nie stać było na to, żeby mnie utrzymać prywatnie w Nisku. Inna możliwość to było technikum w Krakowie, ale tu już koszty utrzymania były zdecydowanie wyższe, stąd podjąłem decyzję, moim zdaniem z perspektywy tych 55 lat dobrą decyzję, udając się do Zaklikowa, i tam ukończyłem to liceum, które przygotowało mnie do studiów i w jakimś stopniu również do zawodu. Ja wówczas widziałem ludzi pracujących przy naprawie sieci, budujących tą sieć, zresztą byłem tym zainspirowany, bo jeszcze w pierwszej klasie u mnie w domu nie było światła. Dopiero w kolejnym roku pojawiło się światło, a więc stąd to przełożenie na pewne nowości, które idą za energią elektryczną wywołały to duże wrażenie, no i myślałem, że będę mógł pracować [jako elektryk]. Jeżeli patrzymy teraz z punktu widzenia zawodu, to wiele osób ukończyło takie technikum czy szkołę elektryczną i osiągnęły bardzo wysokie funkcje w państwie, ale też wiele osób skończyło szkoły melioracyjne, technikum melioracyjne czy studia melioracyjne, tu zaczynając nawet od Rosiewicza, czy prawdopodobnie Leonid [Breżniew] – taki przywódca sąsiedniego państwa – również ukończył technikum melioracyjne. [Nauczyciele] zostali w mojej pamięci. Do nauczania geografii pojawiła się osoba, wówczas pani Pelagia Kłoś, później, już jak nas wypromowała, to wyszła za pana Żołnę i uczyli tutaj w Lublinie. Ona, powiedziałbym, w jakiś sposób też ukierunkowała mnie, bo zastanawiałem się, czy geologia, czy geografia. Znowu to była kwestia tego Krakowa i kosztów utrzymania. No zdecydowałem, że spróbuję na geografii. To jest jedna osoba. Druga osoba to polonista. To był pan Zygmunt Kozak, później pan doktor Kozak, też przeniósł się do Lublina. Bardzo dobrze znał i przytaczał nam fragmenty z greki. Szczególnie fascynowało go odrodzenie i oświecenie w okresie francuskim, wymagał od nas wiele. Następnie pani, która zajmowała się biologią i chemią. Ona też bardzo solidnie podchodziła do zajęć. Czyli to były te podstawy. No jeszcze matematyka. Z matematyką też miałem szczęście, bo zajmował się nami pan Stanisław Tołysz i starał się nas nauczyć matematyki. Szczególnie zwracał uwagę na osoby, które, no jak to obecnie studenci by powiedzieli, coś kumały. On pomagał. O tyle to było istotne, że to grono, które nas prowadziło, ono właśnie starało się dotrzeć do nas. Mieliśmy też bardzo dobrego nauczyciela fizyki, wymagającego – nauczyciela, który uczył nas porządku. Tam, jak się przychodziło do pracowni, to stoły, krzesła musiały być ustawione w rządek. Jak nie, to jakieś tam były zaraz konsekwencje z tego, a po

co nam to było? Więc on rzeczywiście wymagał. Nauczyciel historii z kolei był takim troszeczkę cholerykiem. A więc jak miał humor, no to pewne rzeczy odpuszczał, a inaczej to właściwie nie wiadomo było, na co można liczyć z jego strony, ale miał pewną słabość. Był kibicem Unii Tarnów. Jak Unia wygrała, to my zaraz „Panie sorze, Unia wygrała", no i oczywiście lekcja historii już była pozytywna. Natomiast jak Unia przegrała, to lepiej było nie wspominać. No, w jakiś sposób każdy ma pewne słabe punkty i jest kwestia tylko wyczucia i w odpowiedni sposób zareagowania, podpuszczenia również, bo o to tutaj chodziło. Ja korzystałem z nich wszystkich. To był zespół, który wiedział, co robi. No i jak skończyłem liceum, to później ten zespół się troszeczkę rozsypał, to były cztery lata i później już pojedyncze osoby odchodziły. Czas po prostu decyduje o tym.

4. Poza lekcjami

Zaklików miał piękne położenie, to było nad rzeką Sanną, nad tą samą, która bierze początek w mojej miejscowości. Tam kąpaliśmy się, później został wybudowany zalew w Zaklikowie, ale warunki były, powiedziałbym z dzisiejszego punktu widzenia, trudne. Również w internacie. Obecnie młodzież uciekałaby z takich warunków. Były stworzone warunki do pracy, do sportu, była możliwość gry w piłkę, siatkówkę, było boisko przy internacie, mogliśmy korzystać również z hali gimnastycznej. No i też była mobilizacja [ze strony] nauczycieli w postaci organizacji różnych imprez związanych z jakimiś rocznicami. Obojętnie jak się do tego podchodzi, ale to była mobilizacja dla uczniów, żeby jednak postarać się, przygotować wiersz czy skecz, czy wręcz nawet jakiś mini teatr. Oczywiście tak jak w każdej miejscowości są grupy dzieci, wówczas u nas, gdzie spotykaliśmy się w mniejszym lub większym gronie, u kolegów, też były organizowane jakieś spotkania – czy kolędowanie, czy grupy również z posługą w trakcie uroczystości kościelnych. No tu były bardzo różne formy i to nas mobilizowało, z tym że nie miałem dużo czasu. Zawsze jednak widziałem, jak mama ciężko pracuje, że ta pomoc jest jej potrzebna i starałem się to robić, bo po prostu nie miał kto.

5. Wartość nauki

[Reakcja na elektryfikację] to było oczekiwanie. U mnie to po prostu było oczekiwanie, to jest ułatwienie dostępu do książek. W moim domu ojciec powtarzał mi „synu, ucz się, dopóki będę mógł, to będę ci pomagał". Tak się złożyło, że zginął, jak byłem na drugim roku studiów, ale to, co zaszczepił, to, co mi mówił o tej wartości... Zresztą sam bardzo szybko doświadczyłem, jaką wartość ma słowo pisane, jaką wartość ma nauka. Trudno mówić o studiowaniu, ale starałem się jednocześnie wykorzystać ten czas, żeby czytać, chociaż czasu nie było dużo, bo były różne obowiązki. Po przyjściu ze szkoły to nie było to, że człowiek zastanawiał

się, co robić, tylko były konkretne zadania do wykonania i w wieczór można było usiąść do odrabiania lekcji. A więc to nie było tak, jak teraz obserwuję, że młodzież nie wie, co z sobą zrobić. Ja takiego wolnego czasu nie miałem, musiałem ten czas niejako wyrywać dla książek. Muszę przyznać, że pójście do szkoły zawsze mnie cieszyło. To były zupełnie inne obowiązki, inne zadania – te, które mnie interesowały, chociaż bardzo lubiłem tę pracę wokół domu czy pracę na polu, bo to był kontakt z przyrodą, z rzeczywistością, która nas otacza.

6. Rodzina

Rodzice mieli małe gospodarstwo, które było efektem 1944 roku, czyli reformy rolnej. Ojciec [Stefan] dorabiał, znał się na obróbce metalu, a więc prowadził kuźnię. Był bardzo dobrym specjalistą. Wszędzie, gdzie nie można było dojść, to ja dostawałem klucz, żeby wejść, dokręcić, przytrzymać, także również tutaj chętnie uczestniczyłem, bo też się czegoś uczyłem. Tato obsługiwał tak zwaną lokomobilę, to była maszyna parowa do napędzania mocarni czy innych urządzeń, czyli to było tak jak, powiedzmy, pociąg, tylko że stacjonarny i napęd był przenoszony pasami na te urządzenia. To to jeszcze mogłem obserwować i to tato pokazywał, jak to funkcjonuje. Mogłem też obserwować, jak wyglądało ujęcie wody. Była studnia, to było dość duże i zagłębione miejsce, gdzie były całe urządzenia, które pompowały wodę i dostarczały tę wodę wówczas do pałacu czy do zarządców. No, ta woda była i od czasu do czasu jeszcze był okres, że tato próbował uruchomić to urządzenie, ale to nie pracowało długo. Pojawiały się wówczas pierwsze motory. To mnie też fascynowało, jak one jeżdżą, to tato mi zawsze opowiadał, że on przed wojną jeździł Sokołem. To był Sokół, który był u Dziedzica, ale tato znał się na tych maszynach, obsługiwał je, więc również czasami korzystał z takiego dobrodziejstwa. Jednocześnie pracował w metalu, no i tutaj, z tego, co pamiętam, to przywiózł taką tablicę metalową upamiętniającą powstańców styczniowych 1863 roku. Zresztą krzyż stoi jeszcze za starą szkołą, w takich resztkach parku. Mama [Stanisława] zajmowała się domem, ona niejako dbała o wyżywienie, natomiast tato o wszystkie inne sprawy. Tato nie miał takiej ciągoty do pracy na polu, ale raczej wolał zająć się swoją kuźnią i tam pracować, a do tych prac na polu zawsze był ktoś wynajmowany. Niestety bardzo wcześnie zginął. Zginął tragicznie na szosie po moim drugim roku studiów i tutaj była kwestia, że część osób sugerowało mamie, żebym ja jednak zrezygnował ze studiów, no ale na szczęście ten projekt nie został zrealizowany. Dziadkowie też pracowali na roli. Z kolei dziadek ze strony mamy był bardzo dobrym specjalistą w zakresie przetwórstwa mięsa. Była wędzarnia, więc chętnie odwiedzałem dziadka, szczególnie w sobotę, bo zawsze sąsiedzi przychodzili, dziadek wędził i coś tam zostało na tą świeżą wędlinę. A jeszcze we wcześniejszych latach dziadek był specjalistą w zakresie produkcji cegły. W naszej miejscowości przed wojną była cegielnia i tam dziadek pełnił tę fukcję – doglądał tego procesu wygrzewania,

wypalania cegły. [Miałem] Dwóch starszych braci i siostrę młodszą o trzy lata, także ta luka między braćmi a mną i siostrą była duża i ja raczej wychowywałem się z siostrą. Natomiast bracia wcześniej poszli do ogólniaka, później na studia i prowadzili swoje życie. Było bardzo ciężko, trudno było rodzicom dosłownie związać koniec z końcem, to ich obserwowałem. Ja może nie zdawałem sobie sprawy z tego, ale jak bracia byli w liceum, [między nimi] była różnica jednego roku, ale młodszy był na tyle ambitny, że bardzo szybko poszedł i chodzili razem do szkoły podstawowej i później do liceum w Janowie, do tej samej klasy, ale mieli jednak różne charaktery.

7. Święta

Święta to były spotkania rodzinne, spotkania sąsiedzkie, to była wymiana, odwiedzaliśmy się nawzajem, no i bardzo miło to wspominam. Zawsze taki bukiet pojawiał się tuż przed świętami, kiedy przed Wigilią, przed Wielkanocą, zawsze przed jakimiś świętami, czy typu odpust, czy jakimiś innymi spotkaniami, mama starała się coś przygotować, a ponadto wiedziałem, co tam będzie u kolegi jeszcze takiego, co może być ciekawego, więc zawsze znalazł się pretekst, żeby go odwiedzić.

8. Przypadki przy jeździe na nartach i sankach

Nie stać było nas na jakieś profesjonalne narty, to trzeba było je robić. Pamiętam, w jaki sposób wyginało się te deski, jak robiło się te wiązania. Były kuchnie z okapem, trzeba było mieć odpowiednie drewno i kiedy były gotowane, powiedzmy, ziemniaki czy coś, to tam bracia wstawiali deski po to, żeby później można było nieco je zakrzywić, ten dziób zrobić, ale ja już tego nie ćwiczyłem, to już bracia. Ewentualnie to, co było robione, to jak były te tak zwane przetaki, to części z tych przetaków były przybijane do desek. No ale to był opór, bo jednak nie było takiego poślizgu. Natomiast tato zrobił mi eleganckie sanki, metalowe. Szczególnie lubiłem jeździć po takim przymarźniętym śniegu, bo wtedy bardzo wysoko można było wejść i jechać kilometr czy półtora kilometra, zjeżdżać sobie z tych pagórków. Ewentualnie [możliwe były] krótsze zjazdy, strome. W pobliżu mojego domu była studnia i obok tej studni była góra, i trzeba było też tak kierować, żeby nie uderzyć w tą studnię. Tu nie chodzi o to, że można było wpaść do studni, tylko że można było się potłuc o ten wystający beton. Zawsze wieczorem, jak się ściemniło, to było nas cała grupa i wszyscy bawili się, cieszyli się z tego, że można zjeżdżać. Jeden wyżej, drugi niżej, ale nie było przypadków, żeby jakieś tam uszkodzenia były na sankach. Dzieci z sąsiednich miejscowości, z tych małych przysiółków, były dowożone sańmi w okresie zimowym. Kiedyś miałem taki przypadek, ale to była moja wina, że zjeżdżałem sankami z górki, wjechałem na taką drogę, a tam była para koni i duże sanie. No, udało mi się przejechać, ale co ja usłyszałem od tego woźnicy, to już moja sprawa. Miałem też taki przypadek, że była wysoka góra, nie zdawałem sobie sprawy z tego, zjeżdżam z tej

wysokiej góry i tam była grobelka, i rzuciło mnie na lód. Prędkość była duża, wyrzut też poważny, ja siedzę na sankach, wszystko rusza się wokół, a ja nie mogę złapać powietrza. Ledwo dysząc, no jakoś w końcu to powietrze złapałem, ale nie byłem przygotowany na to, że to uderzenie o lód będzie na tyle silne, że zatka mnie zupełnie. Czy inny przypadek też autentyczny – pewne szaleństwa na sankach – wypadało mi już wjechać w takiego dużego buka. Ratując się, stanąłem na nogach, ale sanki w buka, a ja obok. Oczywiście troszeczkę się poturbowałem, ale to nie było nic takiego, to był po prostu przypadek przy jeździe.

9. Obcowanie z przyrodą

Do Wierzchowisk nie było komunikacji, żeby dojść do autobusu, trzeba było przejść pieszo siedem kilometrów do Modliborzyc albo w granicach 10–12 kilometrów do kolei. No oczywiście jak ktoś miał konia, to można było być podwiezionym, ale najczęściej tą drogę pokonywałem pieszo. Autobus został uruchomiony w momencie, kiedy byłem już w liceum ogólnokształcącym. Wtedy były dwa autobusy – jeden rano, drugi wieczorem – którymi można było dojechać, ale jak dojechało się do Modliborzyc, żeby jechać do Lublina, to nie było pewności, że któryś z autobusów zabierze, bo to była linia Rzeszów – Lublin. I najczęściej w okresach poświątecznych te autobusy były zatłoczone. Stąd zawsze pewniejszą drogą, mimo że może troszeczkę dłuższą, była kolej albo [stacja] Polichna, do której jak byłem młody to nie lubiłem chodzić, albo Szastarka. Do Szastarki była droga polna, tam od czasu do czasu przechodziło się przez obszar z zabudową, natomiast między Wierzchowiskami a Polichną nie było praktycznie żadnego budynku. Już później na studiach chętnie chodziłem do Polichny, tam był bardziej zróżnicowany krajobraz, przechodziło się wąwozami, z którymi były [związane] też różne legendy. Mówili różni ludzie, co tam straszy, kto tam się powiesił na którym drzewie czy coś takiego, no ale to już człowiek był starszy i to mnie bardzo frapowało. Takie dojście do Polichny czy powrót do Wierzchowisk to [trwał] około półtorej godziny. Wiadomo było, pół godziny przez Polichnę trzeba było iść, przez ten obszar zabudowany, a później ta godzina to było to obcowanie z przyrodą. W pięknych ścieżkach. Obok była droga, ale ludzie chodzili i te ścieżki były wydeptane. Bardzo dużo jeździłem też rowerem, ale gdzie ten rower później przetrzymać? Jeżeli tam i z powrotem, to oczywiście rowerem, natomiast tak to trudno było, bo ten rower musiałby gdzieś stać. Natomiast później bardzo dużo jeździłem rowerem, ale to już w tym drugim etapie – wtedy kiedy zbierałem materiały, już będąc na studiach.

10. Egzaminy wstępne – „co mnie zaskoczyło..."

Zdecydowałem się na studia geograficzne – to był Lublin, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej – tutaj złożyłem dokumenty, zdałem egzamin. Na egzaminie, jak później

widziałem swoją pracę, to dostałem ocenę – to mogę powiedzieć – dostateczny plus, ale z informacją, że bardzo dużo wiadomości [było] w tym materiale pisemnym. No, na egzaminie były trzy tematy. Był temat „Wisła", „Kuba" i „Alpy". Do wyboru. Ja podjąłem ten pierwszy temat – „Wisła" – i znalazłem na tyle zrozumienie, że te trzy z plusem widocznie wystarczyło do tego, żeby mnie dopuścić do egzaminu ustnego, a później na egzaminie ustnym jakoś sobie poradziłem. Egzamin ustny zdawałem również z fizyki i z języka rosyjskiego. To, co mnie wówczas zaskoczyło na egzaminie z geografii, to była analiza tak zwanych mapek, gdzie były tylko pewne kontury. Kontury kontynentów czy państw, czy jest rzeka z zaznaczonym miastem i jakie to miasto. Otrzymałem Ocean Wielki, ale w takim odwzorowaniu, że jakoś nie bardzo mogłem na to trafić. No więc ci profesorowie, była ich dwójka, no widzą, że coś nie mogę sobie poradzić i później po tych wybrzeżach – wybrzeże Stanów Zjednoczonych, jaki to Półwysep, jaka to Zatoka, takimi podpowiedziami, naciąganiem pewnym. Miałem tą wiedzę, ale jakoś nie mogłem wyartykułować, że jest to Ocean Spokojny. Następne zadania nie stanowiły problemu, ale tutaj ta znajomość tego Wybrzeża… No jakieś takie zaćmienie w tym czasie. Muszę przyznać, że to mnie wówczas bardzo męczyło, ale jakoś szczęśliwie przetrwałem, nie to żebym wyszedł z egzaminu. No i zostałem przyjęty. Później już studia.

11. „Jeszcze będziemy ze sobą współpracowali"

Zajęcia mi odpowiadały. Na pierwszym roku takim przedmiotem były astronomiczne podstawy geografii. To był przedmiot, prowadzony przez pana profesora Wilgata – zawsze to było to pierwsze sito, duże sito, że tam połowa zwykle oblewała. Egzamin był dwuczęściowy, najpierw pisemny, później ustny i po egzaminie pisemnym została przygotowana lista osób zdających. Ja byłem na szarym końcu i zastanawiałem się dlaczego. Okazuje się, że najlepiej napisałem ten egzamin pisemny i później na egzaminie ustnym dostałem bardzo dobry, co jak była jedna ocena bardzo dobra na parę lat, to było swoiste wyróżnienie. Rzeczywiście to od razu, a kto to, a co, a jak. Ale też profesor starał się przekazać tę wiedzę, żeby zrozumieć proces, a nie wyklepać definicje. Na przykład, to też pamiętam: referuję, referuję, profesor mi nie przeszkadza – no nie, to do tej pory wszystko źle, co mówiłem. „No to proszę powiedzieć jak". Później sam byłem zaskoczony, że taka ocena. Kolegów już nie było, więc cieszyłem się właściwie sam w akademiku, bo to było dość późno, egzamin zdawałem jako ostatni. A wtedy na egzaminach ustnych jak było kilkanaście osób, to góra, to nie było tak, że wszystko jednego dnia. Tam naprawdę wiedza była sprawdzana – jedni sprawdzali tylko wiedzę, a drudzy myślenie. Ja preferowałem zawsze to drugie. Jak było klepanie, to ja zawsze nie dostawałem najwyższej oceny. Natomiast jak trzeba było coś pokombinować, to tutaj raczej nie miałem problemu. To, jak profesor wykładał, to mi bardzo odpowiadało, ten sposób myślenia również. Myślę, że to, że dostałem ocenę bardzo dobrą, oznaczało, że już zwrócono na mnie

uwagę. I w Zakładzie, tak jak mi później przekazywano, monitorowano właśnie takie osoby, na jaką specjalizację później ktoś idzie. No taki przypadek, że były ćwiczenia praktyczne z hydrografii, wracamy do Zakładu autobusem, czeka na mnie wówczas pani doktor Szalkiewicz, no i mi przekazuje informację, że mój tata nie żyje. „Niech pan jedzie do domu", no później oczywiście pojechałem, jak wróciłem, to podziękowałem jej za to i ona wówczas powiedziała mi takie słowa: „Jeszcze będziemy ze sobą współpracowali". To było po drugim roku. Później miałem w wakacje obóz wojskowy, no i tak się złożyło, że w dniu, w którym wróciłem tutaj do Lublina z obozu wojskowego, a to był obóz w Złocieńcu na Pomorzu – niedaleko Drawska – w tym dniu był pogrzeb pani doktor Szalkiewicz. Także bezpośrednio z panią doktor Szalkiewicz nie współpracowałem, ale współpracowałem z innymi osobami. To była jakaś wskazówka, która mnie później zastanawiała, co to miałoby znaczyć, bo jeżeli człowiek by dalej funkcjonował, no to może nie miałoby to takiego znaczenia, ale takie ostatnie spotkanie z osobą, której później już więcej nie widziałem, zawsze jakoś tak nasuwa pewne myśli. Zaczynało nas [na roku] nieco ponad 40 osób, to nie były takie liczne roczniki, natomiast później osoby kończyły, ale w różnym czasie. Mieliśmy dwa i pół roku zajęć wspólnych, a później wybieraliśmy różne specjalizacje. Ja wybrałem specjalizację z hydrografii. Było nas siedem osób, tworzyliśmy bardzo zwartą, wzajemnie wspierającą się grupę. Pierwotnie myślałem o pójściu na geografię ekonomiczną. To działanie na liczbach mi odpowiadało, ale wybrałem hydrografię i nie żałuję do tej pory. To były studia pod opieką profesora Wilgata, który pilnował, żeby się nie zawirusowało w głowie. Wiedziałem, że profesor jest wymagający i że wie, czego chce. A to mnie mobilizowało. Panie też zwracały uwagę na jakieś niestosowne, nietaktowne zachowania czy jak włosy były za długie, to potrafiły przyjść i jeszcze [powiedzieć]: „No już trzeba iść do fryzjera".

12. Prace terenowe

Kiedy prowadziłem zajęcia, byłem prodziekanem przez dziewięć lat, bez czterech miesięcy, bo to były ponad dwie kadencje bezpośrednio po sobie, to wiedziałem, że studenci bardzo chętnie uczestniczą w tych zajęciach [terenowych]. To są również spotkania integrujące i spotkania, które uczą wspólnego życia. Zajęć było dość dużo i w różnych warunkach. Niektóre to były wyjazdy autobusowe, był wówczas autobus Związku Nauczycielstwa Polskiego, taki Jelcz, którym często jeździliśmy. Były zajęcia wokół Lublina czy zajęcia–wyjazdy koleją, no ale najwięcej jednak korzystaliśmy z autobusu, po to żeby jednak przyspieszyć ten dojazd i ułatwić go studentom. Też bardzo ważne były te ćwiczenia prowadzone na terenie Lublina i w jego sąsiedztwie. Tutaj między innymi my z profesorem Wilgatem, pamiętam zajęcia – to był gdzieś rok może 1966, gdzie byliśmy u wylotu obecnej ulicy Jana Pawła, takie przedłużenie. Tam oczywiście nie było ulicy, ale taka polna droga, wąwóz do Bystrzycy i tam były źródełka. Pięknie wypływała woda między kamykami, to było takie miejsce

rozproszone, ale to źródło najbliżej uczelni – obecnie to prawie centrum Lublina – już wówczas funkcjonowało. Woda między tymi kamykami bezpośrednio odpływała do Bystrzycy. Już w późniejszym okresie zarejestrowaliśmy te wszystkie miejsca, gdzie były źródła. Zresztą jest opracowanie z roku 1902 profesora Krisztafowicza, on pracował w Puławach i napisał dzieło po rosyjsku – Hydrogeologia Wyżyny Lubelskiej. Zwracał również uwagę na te pewne aspekty, zresztą jest mapa okolic Lublina, gdzie zaznaczone są te i inne źródła. On później brał też udział w dyskusji, czy wybudowanie ujęcia na „Centralnej" ma sens. Zwracał uwagę na to potencjalne zagrożenie, które wynika z obecności cmentarza przy ulicy Lipowej. Wskazywał inne lokalizacje tych ujęć wody. Zresztą w tej chwili tak podnoszone jest to zagrożenie – sąsiedztwo ujęcia Dziesiąta i cmentarza na Majdanku. Wolałem prace terenowe. Prace terenowe, które wykonywałem bardzo długo. Zresztą uważam, że każdy pracownik naukowy, szczególnie geografii, powinien jeden dzień spędzać obowiązkowo w terenie. To się teraz zmieniło zupełnie, ale wówczas uważałem, że to jest kwestia pewnego odświeżenia, innego spojrzenia, ale ja zbierałem tutaj bardzo długo materiały do wodociągów lubelskich, do systemu pracy studni. Już wędrując od punktu pomiarowego do punktu pomiarowego, dochodziłem do tego, że, aha, jak zmierzyłem stany wody w tej studni, to wiedziałem, które pracują, czyli chodziło o to współoddziaływanie studni na położenie zwierciadła wody podziemnej. Później przyszły również obserwacje wód powierzchniowych. Im dalej na wschód i południe, tym było przyjemniej. Najtrudniej było prowadzić zbieranie materiałów wokół miast. Szczególnie Puławy dla mnie były takie trudne – to był bardzo szybki rozwój, szybki napływ ludności, to było wzbogacenie się ludności, natomiast im dalej na wschód i południe to naprawdę było wielkie zrozumienie, pomoc na każdym kroku, tam ludzie co mieli, to starali się podzielić, żeby dany osobnik, który gdzieś tam „plącze się" po terenie, mógł spokojnie przetrwać. A sytuacje były różne. Później jeździłem ze studentami jako młody pracownik do pomiaru sprzętu, do pomiaru przepływu wody, no i też któryś z tych studentów bał się przeskoczyć przez rzekę, to było na wschodzie czy na południowym wschodzie województwa lubelskiego. Myślę, „no to dobrze, to ja przeskoczę". Byłem w butach gumowych. Rozpędziłem się, wszystko było dobrze, tylko że but mi utkwił w tym miękkim brzegu, ale drugą nogą wylądowałem już na tamtym brzegu, a tą jedną nogą bez buta, no i on już został w wodzie, więc takie przypadki były. Jak poszedłem na te pomiary, wyjeżdżaliśmy samochodem uniwersyteckim. Tych samochodów nie było dużo, ale później pojawiły się samochody terenowe, czy te rosyjskie, czy takie rumuńskie maskele czy muskele. No i pamiętam, też w tej południowo-wschodniej części na dwa dni wyjechałem ze studentem, no i ja mówię do studenta z kierowcą: „Poczekajcie, ja przejdę, zobaczę, czy można tam dojechać, jakie są warunki". Ja przeszedłem, a słyszę za jakiś czas – jadą, zacząłem machać rękami, ale już było za późno. Okazuje się, że to była powierzchnia dawnych stawów, oni wjechali na powierzchnię i oczywiście samochód zawisł na podwoziu, no i totalna klapa. Trzeba było gdzieś tam przejść z kilometr

najpierw po siekierę, żeby jakiegoś drzewa zrąbać, ale po podłożeniu pod koła, jak ruszył, to oczywiście to wszystko zapadało się. Przyszedł ktoś z parą koni. Samochód był podlewarowany, stał, no i konie próbowały go ściągnąć, ale jakoś nie mogły, więc kierowca uruchomił silnik, wtedy konie się przestraszyły. Konie się zaparły, samochód jedzie na nich, no ale szczęśliwie nie było jakiegoś połamania nóg, nie najechał, wyhamował, ale już na tyle go ściągnęły z tego błota, że dalej można byłoby jechać, ale to nam parę godzin zajęło. No takie rzeczy to po prostu zostają w pamięci, różne takie sytuacje, że mierzę rzekę – to wtedy byłem sam, kierowca gdzieś w samochodzie nawet został – no i jak są te buty rybackie, wysokie takie, to ja mam tak pięć centymetrów tylko i przechodzę. To jest nurt, do tego jeszcze takie bryły lodu płyną, no i też zastanawiam się, przeleje się, nie przeleje się, no ale zawsze starałem się jakoś bezpiecznie, jednak to ryzyko zawsze zostawało. To takie ryzyko wchodzenia do Bystrzycy poniżej Lublina. Też jest taka sytuacja, że jak są Sobianowice, czy niżej na wysokości Bystrzycy, że przy brzegu jest bardzo grząskie dno. Tam się po prostu zapada, nie wiem na jakiej głębokości, więc trzeba było znaleźć taką pochyloną wierzbę, z tej wierzby zejść bliżej środka, tam już było twarde dno, a więc to też jest kwestia tego wyczucia, w jaki sposób znaleźć miejsce, gdzie możliwy jest pomiar, ale te pomiary Bystrzycy ja dopiero rozpocząłem po oddaniu oczyszczalni w Hajdowie. Przed oddaniem oczyszczalni w Hajdowie trudno było wejść do wody Bystrzycy poniżej Lublina. Taki zapach był mało przyjemny. W tej chwili to mamy automatyczny sprzęt, że przerzuca się czy mostem przeciąga się linkę z jednego brzegu na drugi, przeciąga się taką łódeczkę i to urządzenie skanuje od razu prędkość i głębokość. Po wyciągnięciu na brzeg program od razu wykreśla profil poprzeczny, prędkość i ile wody płynie. A wtedy kiedy ja robiłem, no to to wymagało dłuższego stania w wodzie. W tej chwili nie ma konieczności wchodzenia do wody. Ale to już są czasy współczesne. Zawsze zazdrościłem tym firmom zachodnim, które prezentowały takie urządzenia akustyczne do pomiaru, ale to u nas było nieosiągalne.

13. Praca magisterska

Wybraliśmy seminarium. Na seminarium profesor Wilgat przyniósł sugestie tematów i my wybieraliśmy. A te sugestie wynikały z tego, że wówczas była przygotowywana mapa hydrograficzna Polski. Żeby poznać układ wód powierzchniowych i podziemnych, to w ramach prac magisterskich studenci robili tak zwane zdjęcie hydrograficzne, czyli rejestrowali miejsca, gdzie pojawia się woda, gdzie jest woda na powierzchni i na jakiej głębokości występuje woda podziemna. Te opracowania były wykonywane w obrębie zlewni. Zlewnia to jest obszar, z którego wody spływają do jednej rzeki, to jest mała część dorzecza. Dorzecze to już jest duża jednostka. Ale tutaj otrzymywaliśmy zlewnie o powierzchni stu kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych i tam przez dwa sezony zbieraliśmy materiały do opracowania mapy

hydrograficznej. Czyli temat pracy jako takiej to była charakterystyka stosunków wodnych takiej czy takiej miejscowości, czy takiej czy takiej rzeki. Ja podjąłem się opracowania charakterystyki stosunków wodnych zlewni Białej Łady. To jest rzeka, która płynie przez Biłgoraj i dalej uchodzi do Tanwi po połączeniu z Czarną Ładą. Czemu wybrałem tę rzekę? Ona była stosunkowo blisko mojego domu, a ja wtedy jeszcze byłem związany z domem, bo mieszkała mama, mieszkała babcia. I może taki drobny przypadek, ale tam gdzieś niedaleko w sąsiedztwie mieszkali nasi bardzo dobrzy znajomi, u których wiedziałem, że jak się pojawię, to mi pomogą, już będę miał gdzie się zatrzymać, będę miał tak zwaną metę, bo jednak to trzeba było spędzić parę tygodni w terenie. Poza tym to był krajobraz podobny do tego, który jest w Wierzchowiskach. W przypadku obrony pracy magisterskiej to było na początku lipca, troszeczkę przeciągnięty termin, ale podjęliśmy taką współpracę w tej naszej studenckiej grupie, że wszyscy jednego dnia i jeden drugiemu pomagał. A tej pracy technicznej było naprawdę bardzo dużo – kolorowania, rysowania. W tej chwili studenci mają tego wkładu pracy, powiedzmy, w dziesięciu procentach może do tego, co myśmy musieli wnieść. Stąd też właśnie była taka sytuacja. Egzamin jak to egzamin, praca została bardzo dobrze oceniona. Pytania od promotora – to tutaj właściwie nie było problemu. Pytanie od recenzenta. Doszło do takiej sytuacji, recenzentem był pan profesor Maruszczak, to jest inna osoba znana tutaj też w Lublinie, z wymogów. Ja swoje, promotor swoje, prodziekan swoje i profesor Maruszczak swoje. I wszyscy wtedy dyskutowaliśmy. Tak właśnie się złożyło, że każdy miał jakieś zdanie na tą podniesioną kwestię, którą profesor zadał, którą ja miałem zreferować. To nie było pytanie, żebym odpowiedział czy [podał] jakąś regułkę, tylko to była kwestia zreferowania pewnego zagadnienia, które ja w swoim czasie... no według profesora Maruszczaka powinienem mieć na zajęciach, ale jemu pomyliły się specjalizacje. No ale trudno, musiałem wybrnąć z tego. Z tej wiedzy ogólno geograficznej starałem się wysupłać jakieś informacje o tym problemie, który został mi postawiony. Także wszystko skończyło się bardzo dobrze. Już w tracie egzaminu profesor zaopiniował moją pracę czy właściwie przed egzaminem nawet i powiedział, gdzie to będzie leżało. Zaniosłem podanie do kadr i zostałem pracownikiem Zakładu Hydrologii. To było 1969 rok.

14. Podjęcie pierwszej pracy

Ja przed przystąpieniem do egzaminu już miałem umówione podjęcie pracy. Właściwie miałem dwa miejsca. Jedno w przedsiębiorstwie geologicznym, czyli chodziło tutaj o obsługę ujęć wód podziemnych, gdzie miałem w krótkim czasie zgłosić się do pracy, to były terminy już umówione. Drugie uzgodnione miejsce to w IUNG-u w Puławach. Tam była sprawa obserwacji opadów, obserwacji klimatycznych, ale jednak ta praca z wodami podziemnymi mnie bardzo interesowała. No i dzień przed egzaminem poprosił mnie profesor Wilgat i że on widziałby mnie u

siebie w Zakładzie. No tak troszeczkę głupia sytuacja, dzień przed egzaminem, ale może jeszcze sytuacja wcześniejsza – po czwartym roku, czyli przed piątym rokiem, otrzymuję propozycję od profesora Wilgata podjęcia pracy na etacie technicznym. Etat techniczny to było wynagrodzenie stosunkowo niewielkie, ale wówczas ja traciłem stypendium, a miałem to pełne stypendium, i traciłem akademik. Ja powiedziałem, że, „panie profesorze, nie mogę tego podjąć z uwagi na to, że to wynagrodzenie nie rekompensuje mi strat, jakie ponoszę, rezygnując ze stypendium". Profesor powiedział „wrócimy później do rozmowy", ale skoro nie było żadnej propozycji wcześniejszej, stąd rozglądałem się, żeby jednak podjąć tutaj gdzieś pracę. Udałem się do tych firm i złożyłem podania, zostałem przyjęty, no a później przepraszałem, że nie mogę, że dostałem inną ofertę. W przedsiębiorstwie geologicznym miałem współpracować z panem Dudzikiem, to jeszcze jest znana osoba do wiercenia studni. Później z nim współpracowałem, ale to już na innych zasadach. Zawsze bardzo życzliwie do mnie podchodził i była możliwość dyskusji hydrogeologicznej, której mi brakowało.

15. Uzdrowisko na Sławinku i źródła z cudowną wodą

To było uzdrowisko w czasach napoleońskich, tam było wydawane ponad tysiąc łóżek, tak to jest napisane, czyli tysiąc kuracjuszy korzystało z tego miejsca. Były źródła – to były źródła żelaziste wykorzystywane do leczenia. Są opracowania składu chemicznego, to, pamiętam, doktor Wilson zrobił taką analizę chemiczną zawartości żelaza. Z biegiem czasu jeździł taki, dzisiaj powiedziałbym autobus, ale to był pojazd konny, z Placu Litewskiego na Sławinek w jakimś tam okresie, na pewno każdej niedzieli. Wody ze źródeł były wykorzystywane właśnie w tych celach leczniczych i tutaj też interesująca jest dyskusja o tym, skąd wzięły się te wody lecznicze. I pierwszą taką propozycję podał pan Doborzyński, to jest autor, który napisał pracę o źródłach żelazistych na Sławinku, to jest rok 1896. Co trzeba powiedzieć, że w rejonie Lublina były trzy miejsca, gdzie wypływały wody żelaziste – to był właśnie Sławinek, to był rejon dawnej łaźni miejskiej, ujście Czerniejówki teraz czy tutaj, gdzie jest gala, i trzecie miejsce to jest źródło w Turce. W Turce źródło też można obserwować. Jeżeli to kogoś znowu by interesowało, to jak skręci się z szosy do Nałęczowa, to w miejscowości Cynków jakiś kilometr od tej szosy głównej jest źródło, w którym wypływa woda z jednej strony taka właśnie o kolorze rdzawym, z jednej szczeliny, a obok wypływa woda o normalnym kolorze, a więc takie przypadki tutaj są, one oczywiście nie są znane. Więc te źródła na Sławinku funkcjonowały do czasu wybudowania studni ujęcia Sławinek, budowa tych pierwszych studni była rozpoczęta pod koniec lat 50. One były uruchamiane stopniowo, w 1961 roku to ujęcie zostało uruchomione i wówczas źródła przestały funkcjonować. Czyli w dolinie Czechówki źródła w tej chwili są, ale w górnej części. No i znowu taka ciekawa sytuacja, ciekawa opowieść. W roku 1991 zbierałem materiały w okolicy Motycza. Oczywiście

to są różne kolonie i tam w jednym miejscu rozmawiałem z gospodarzem, który właśnie mówił, że tak, to jego źródło jest u niego tam pod tym pagórem, jak on mówił. Jest to źródło cudowne z wodą leczniczą. Opowiadał taką sytuację, że jak był w szpitalu, to miał robione badania, ale jakoś nic mu nie pomagało i poprosił żonę, żeby mu przyniosła wodę z tego jego źródła. I on mówił w ten sposób, że nalał sobie do szklanki, wypił najpierw pół szklanki, później następną część, po południu znowu wypił i on mówi, że na wieczór już był zdrowy. Takie sytuacje to one jakoś zawsze tak tkwią ludziom w pamięci. Problem z naszą wodą, czy jest to woda cudowna? Na pewno tak, ale ona jest cudowna z tego względu, że jest wodą czystą, że jest wodą naturalną, że jest wodą, która powstaje w wyniku długotrwałej wymiany, długotrwałego krążenia podziemnego. Wspólnie z pracownikami Akademii Górniczo-Hutniczej wykonywaliśmy badania, które doprowadziły do tego, że wody z niektórych źródeł są wodami stosunkowo starymi. I wody te przebywają kilkanaście lub kilkadziesiąt lat pod ziemią, a więc to nie jest tak, że woda spadnie z deszczu i od razu wypłynie w źródle. Ten czas przemieszczania się jest bardzo długi, a będąc pod ziemią woda nasyca się różnymi minerałami, których my nie do końca jesteśmy jeszcze w stanie stwierdzić, mimo że potrafimy robić bardzo dokładne analizy chemiczne. Na Lubelszczyźnie jest kilkanaście czy ponad dwadzieścia źródeł, tak zwanych źródeł świętych czy źródeł z wodą cudowną. Wykonywaliśmy badania wspólnie z Wojewódzkim Inspektoratem Ochrony Środowiska czy laboratorium w IOŚ-iu. Jest to certyfikowane laboratorium. No i tam właśnie stwierdziliśmy obecność różnych substancji, ale nie w takiej ilości, które wskazywałyby, że któraś z tych wód wyróżnia się zawartością jakiejś substancji korzystnie wpływającej na człowieka. Czyli tutaj trzeba stwierdzić, że oprócz tego, co [widzi] mędrca przez szkiełko i oko, jest jeszcze coś innego w tej wodzie, w środowisku, które korzystnie oddziałuje na organizmy żywe. My nie do końca zdajemy sobie z tego sprawę. Potrafimy narzekać na smog, na zanieczyszczenia, ale sprawa jest szersza. To uzdrowisko [na Sławinku] rozwijało się w drugiej połowie XIX wieku. No zdarzyły się jakieś przypadki, które doprowadziły do jego upadku. I tu są różne informacje, spotykałem różne sugestie, przypuszczenia. Jedno to jest, że w tym czasie zwiększało się znaczenie Nałęczowa. To miejsce było sławione przez Żeromskiego, a więc niektórzy mówią, że to jest kwestia konkurencji, że to zostało spalone czy jakieś zniszczenia powstały, ale oczywiście to wszystko domniemania. Następnie to ten narastający ruch kuracjuszy przeszkadzał wojskom carskim, które były w garnizonie lubelskim. Wojsko nie lubi, jak bardzo dużo ludzi kręci się, a więc to znaczenie Sławinka rzeczywiście w połowie XIX wieku czy i w tych pierwszych latach drugiej połowy [XIX wieku] zwiększało się. No niestety zostało brutalnie przerwane, zniszczone i pozostały tylko wspomnienia historyczne o świetności tego dworu, który był, tych budynków, które tam zaistniały, no i tego okresu związanego z leczeniem ludzi. Ujęcia na Sławinku mają swoiste problemy. Część studni ma bardzo dużą zawartość żelaza w wodzie, także teoretycznie te wody mogłyby być wykorzystane, ale na Sławinku mamy pewien

ciekawy układ wód podziemnych – mamy płytko występujące wody w otworach czwartorzędowych i to są również te przypisywane rudy darniowe, a w rudach darniowych tworzą się rudy żalaza. Później mamy osady trzeciorzędowe, które nie wszędzie występują, ale to jest troszeczkę tektonicznie zróżnicowane. W niektórych osadach trzeciorzędowych tego żelaza jest więcej. No i w głębi są skały kredowe – te, które decydują o zasobności wody Lublina czy w ogóle regionu lubelskiego, a więc tak bardzo złożona sytuacja hydrogeologiczna, której na pewnym etapie nie potrafiono wykorzystać – tylko poprzez wiercenie i ujęcie jednego poziomu, tego najwydajniejszego – prowadzi to do zniszczenia tego, co jest wyżej. Pierwsze studnie na Sławinku, jakie były wykonane, były stosunkowo płytkie. To jest trzydzieści parę metrów. W tej chwili jak się wierci, to przynajmniej osiemdziesiąt, a więc to już są inne warstwy, inny poziom wody. To jest kwestia tego krążenia wody. Jedno, co trzeba powiedzieć, że te wody na Sławinku i wody, powiedzmy, tutaj w rejonie LSM-u one są ze sobą hydraulicznie powiązane. To wynika z obserwacji, z doświadczeń i z analiz, które robiliśmy w Zakładzie. I mało tego, jest ten bezpośredni związek między wodą podziemną i wodą rzeczną. Po wybudowaniu studni, po jej uruchomieniu, tworzył się tak zwany lej depresyjny. Czyli co następuje? Następuje obniżanie zwierciadła wody w tym poziomie eksploatowanym. Po pewnym czasie wody z tych niższych poziomów przesączają się pionowo, bo brakuje, a w przyrodzie nie ma próżni, i one nie zasilały rzeki, tylko przedostawały się do warstw głębszych. Wytworzył się w rejonie ujęcia Sławinek dość głęboki lej depresyjny, w rejonie którego rzeki przestały funkcjonować. Mamy pomiary, które wykonywaliśmy powyżej miejscowości Dąbrowica, Uniszowice czy powyżej Sławinka i przy drodze Warszawskiej czy poniżej. Zresztą mieszkańcy pamiętają, że przez długi okres Czechówka nie płynęła. Dopływały tylko ścieki z kolektorów czy z nielegalnych zrzutów, ale to właściwe zostało już opanowane. Następnie pobór wody na Sławinku zmniejszył się i nastąpiło wypełnienie tego leja depresyjnego, podniosło się zwierciadło wody i rzeka na nowo jest zasilana, jak długo – nie wiadomo, bo nie wiadomo jak długo poziom poboru wody będzie utrzymywał się na takim bezpiecznym poziomie. W tej chwili z materiałów, które były zbierane, wygląda na to, że nie ma ucieczki wody na odcinku lubelskim od ujęcia na Sławinku do ujścia, ale nie ma też wielkiego dopływu wody. Mówię to na podstawie tego, że w swoim czasie założyliśmy dwa wodowskazy. Jeden na wysokości skansenu, a drugi przy ujściu, przy ulicy Doświadczalnej. Te materiały wskazują na taki układ – dolna część czym się charakteryzuje? Ten zurbanizowany odcinek miejski cechuje się tym, że następuje bardzo szybki dopływ wód z licznych kolektorów odprowadzających wody powierzchniowe. Cały Czechów, Stare Miasto też odprowadza wodę, a więc następuje gwałtowny przyrost stanów wody rzędu dwóch metrów w dolinie czy w samym korycie. Później to płynie do Bystrzycy i i dalej.

16.Odtworzenie stawów w Ogrodzie Botanicznym a stan wody podziemnej

W dolinie Czechówki są stawy, one były różnej głębokości, obecnie są stawy powyżej szosy – nazwijmy to szosą nałęczowską. Natomiast bezpośrednio powyżej ujęcia były stawy, których właścicielem był niejaki Palak. My nazywaliśmy je stawami Palaka. Tam zaczynało się to zmniejszanie przepływu. Później w swoim czasie pojawił się problem skansenu, problem wybudowania tam zbiornika wody. Długo dyskutowaliśmy, jak to zrobić. One zostały w końcu wyłożone materiałem nieprzepuszczalnym. Przyszedł okres wilgotny i ta woda jest. Podobna sytuacja była ze stawami w Ogrodzie Botanicznym. Chodziło o odtworzenie, to są niewielkie zbiorniki wody, no i też ta dyskusja – będzie woda, czy nie będzie. Woda do stawów była kierowana z Czechówki obejściem i w sumie przepływała przez staw. Też zostały stawy wyłożone materiałem nieprzepuszczalnym, ale okazuje się, że w roku 2002 czy 2003 nastąpiło przebicie hydrauliczne, czyli ciśnienie wody podziemnej było na tyle duże, że przerwało izolację i woda zaczęła wypływać w stawach. To jest udokumentowane w materiale, który opublikowaliśmy w czasopiśmie Annales, gdzie mamy na zdjęciu miejsce wypływu wody. Trudno powiedzieć, ile tej wody wypływało, ale to był wypływ na tyle silny, że widać te wypływy pulsujące – że woda wydobywa się pod ciśnieniem, czyli jest to takie jednoznaczne miejsce wypływu. To tylko ten okres bardzo wysokich stanów wody. A jeszcze w tym czasie była przerwa w pracy ujęcia, był kapitalny remont ujęcia na Sławinku i to też przyspieszyło proces uzupełnienia zasobów wody podziemnej w tym rejonie. Od tamtego czasu stawy funkcjonują, ale wypływów nie ma. Od roku 1997 w rejonie Lublina sytuacja ustabilizowała się dzięki opadom atmosferycznym i mniejszemu poborowi wody podziemnej. Te obniżenia zostały w dużej części wypełnione i obecnie, mimo że jest w ostatnim okresie dość sucho, nie ma na razie takiego realnego zagrożenia, żeby w ciągu roku tej wody brakowało w ujęciach, ale to też wynika z tego, że nasze obserwacje i badania wykazały, że nie ma w Lublinie takiej bezpośredniej reakcji – opad i odpływ, opad i wysokie stany wody podziemnej, że stany wody podziemnej w Lublinie wyrównują się w okresie 7–9 lat. Czyli jeden epizod z niskim opadem czy z wysokim opadem nie decyduje o zmianie zasobów wody podziemnej. To jest sytuacja bardzo korzystna dla ujęć wody, bo pozwala na prognozowanie tego, co się dzieje. No i jeszcze jedno, to nie jest na razie dostrzegane, ale jeżeli dobrze obserwujemy stany wody, to najpierw ten proces niskich stanów wody czy wysokich zaczyna się od południowej części miasta, a dopiero później przenosi się na część północną. W obserwacjach to jest okres około roku różnicy, gdzie zauważam to przeniesienie. A więc to też jest taka sytuacja charakterystyczna, którą stwierdziliśmy dzięki tym wieloletnim obserwacjom stanów wody, przepływów i całej gospodarki wodnej. Miałem szczęście współpracować z Miejskim Przedsiębiorstwem Wodociągów i Kanalizacji, bo przez 21 lat równocześnie z pracą na uczelni byłem kierownikiem do spraw hydrogeologii, a więc spraw zaopatrzenia miasta w wodę. To był dla mnie też okres takiej wprawy, okres innego spojrzenia. Jaka jest różnica? Na uczelni płynie litr

wody czy dwa litry, to jest: „oj, płynie coś tam”, natomiast w przypadku rozwiązania technicznego w MPWiK-u czy litr, czy dwa to już jest inna średnica. Jeżeli coś trzeba wybudować, to o jakiej średnicy, ile tej wody ma przepuścić, a na uczelni wystarczy wybudować. To zmusiło mnie niejako do innego spojrzenia, do takiego realnego spojrzenia, z czego nie wszyscy sobie zdają sprawę. Oczywiście poza podejściem bezpośrednio inżynierskim. Następnie też to, co się udało, to opomiarowaliśmy dwa kanały burzowe. A więc doprowadziliśmy do tego, że uzyskaliśmy relacje między intensywnością opadów a intensywnością wypływu wody z kanału burzowego. To były dwa, jeden na ulicy Głębokiej, drugi na ulicy Wapiennej, to jest kolektor poprowadzony równolegle do ulicy Zana. Też teoretycznie moglibyśmy prowadzić te obserwacje, ale tutaj są różne przeszkody, niekiedy, zupełnie nie wiadomo dlaczego, te urządzenia komuś przeszkadzają. Zdarzają się również jakieś straty, takie celowe uszkodzenia, jak na przykład odcięcie przewodów w kanale przy ulicy Głębokiej. Ktoś musiał się tam dostać, ktoś musiał przejść tym kanałem. Ale tak jak w Internecie człowiek sprawdza materiały, to ludzie się chwalą różnymi osiągnięciami, że ktoś ileś tam tych kanałów już przeszedł, że zna tą sieć kanałów, a czasami jak jest jakieś urządzenie, to mu przeszkadza. Chociaż ci, co penetrują kanały, to raczej im to nie przeszkadza, tylko jakimś innym elementom.

Data i miejsce nagrania	2019-10-02, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Redakcja	Angelika Chęć
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"